

Potop

Rękami naprawdę dotykał kłód – drewno było białe, równe i delikatne. Pachnące białe belki, rozgrzane przez promienie słoneczne, owiane piaskiem, którego niewidoczne ziarenka przylepiały się do skóry rąk i przesypywały się przez palce jak czas – minuty, godziny, dni, tygodnie i lata. Garście były wypełnione stuleciami, z cudowną łatwością można było zanurzyć palce w ery.

Drewno, wyhodowane przez czas, wyrosło w nim, oslepiająca biel, jaką może nadać tylko strug – myślał i gładził dłońmi kłody, czując wiatr, słońce i życie. Wrażliwa skóra na dłoniach oddawała gładkość drewna, którą się lubował.

Przeciągnął po nim jeszcze raz i wszystko zniknęło. To była chwila.

1

Gustavas obudził się w środku nocy zlany potem. Mokra była kołdra, a nawet prześcieradło, które mocno owijało jego zwiotczałe, zdjęte snem ciało, nawet włosy były wilgotne. Najprawdziwszy koszmar. Pamiętał tylko jakieś kołysanie, jakby huśtanie, nic konkretnego. Żadnych twarzy ani wydarzeń. Pozostało tylko wrażenie – jakby powoli bujał się w wielkim hamaku albo stał na pokładzie płynącego statku. Słony zapach potu

rzeczywiście przypominał wodę morską. Obliznął wargi – były zimne i suche. Słone.

Dżena nawet nie drgnęła, nawet nie obróciła się na drugi bok, kiedy wreszcie wyrwał się z łóżka, wyzwolił się z tego lepkiego i ciepłego kokonu jak ćma, która przed chwilą wyszła z ciasnej poczwarki. Drżąc, ledwo trzymając się na nogach ćma, ogarnięta nieznanym uczuciem, że stoi przed całym światem, na który musi się teraz przygotować, długo i cierpliwie gimnastykować, aby rozwinąć swoje skrzydła, wznieść się i polecieć. Przez pewien czas stał bez ruchu w mroku pokoju. Dżena spała do połowy odkryta i osobne wyspy jej bielejącego ciała przypominały blade połyski wielkich meduz w ciemnej wodzie. Niejasne, bezkształtne sylwetki – jak macki albo obłoczki cytoplazmy. Ciało żony dryfowało w mroku jak w głębokim oceanie, nad którym można się pochylić i w niego wpatrywać, ale oczy nie są w stanie połączyć poszczególnych form w niepodzielną całość.

Wilgotne ciepło powoli parowało i znikało, opuściło go i roztopiło się w ciemności. Poczłapał do kuchni, wciąż jeszcze dziwnie odurzony i chwiejny, po drodze szukał rękami oparcia ścian i krzeseł, jakby rzeczywiście przed chwilą zszedł ze statku, którym płynął niezmiernie długo, i ciało, słuchając nadal rytmu wody, nie było w stanie usłyszeć niczego innego. Usiadł w kuchni, po omacku znalazł szklankę i się napił. Popatrzył przez okno, jakby chciał nie wiadomo co dostrzec na zewnątrz, ale nic nie drgnęło, tylko ciąg kontenerów sterczał w mroku na swoim miejscu. Kołysanie słabło. Ciało stawało się coraz chłodniejsze. Spokojnie mruczająca lodówka westchnęła głośno i umilkła. Cisza go usypiała.

Czując, jak mimowolnie znów zaczyna drzeć, wrócił do łóżka i się położył.

2

Dżena nigdy nie chciała dzieci. Nigdy o nich nawet mowy nie było, żadnych związanych z nimi planów.

Od samego początku, od pierwszego dnia ich małżeństwa zaczęła żyć osobnym, swoim własnym życiem. Zdawało się, że Gustavas zajął w nim miejsce niezauważalne, niewielką poświęconą mu niszę. Ewidentnie był tylko szczegółem – jak mosiężna waza albo niewyraźny obraz w dużym pokoju. Szczegółem zapewniającym komfort, zupełnie nieważnym i niemającym żadnego wpływu na życie Dżeny. Gustavas, jak waza albo obraz, był skłonny wysłuchać niemal wszystkich wymawianych przez nią słów i pragnień. Nie mógłby wyjaśnić, dlaczego tak się zachowuje i czy to głupie. Tak po prostu było.

Zaparz mi kawy, mawiała Dżena, nie prosiła i nie rozkazywała, tylko po prostu mawiała, a on szedł mieć ziarna i parzyć kawę.

Czasem do Dżeny przyjeżdżały w gości koleżanki. Dżena prowadziła je do gościnnego i rozwalala się wygodnie i leniwie w fotelu. Razem piły zmieloną i przygotowaną przez Gustavasa kawę i rozmawiały o życiu. Znajome patrzyły wytrzeszczonymi oczami na Dżenę, ponieważ w ich żywotach była tylko ciężka praca, huczące automaty do prania, parujące garnki i wyjące odkurzacze. Dżena, słuchając koleżanek, tylko niedbale się uśmiechała. Jej uśmiech stawał się podobny do uśmiechu cyrkowego tresera tygrysów, gdy wszyscy

chwałą jego triki i zręczność, a on doskonale rozumie, że zwierzę jest podległe tylko jemu i tylko z jego ręki dostanie jeść.

Tak Gustavas i Dżena żyli przez pierwszy rok.

Mimo wszystko po roku zaszła w ciążę. Urodziła, a potem znowu zaszła w ciążę. Obie były ciężkie, a porody skomplikowane. Po dwóch cesarskich cięciach Dżena niemal nie potrafiła wstać z łóżka i sama nie robiła ani kroku. Była jak porcelanowa lalka, najwięcej czasu spędzała w łóżku.

Dzieci urodziły się jedno po drugim, w wakacje, więc dwa lata z rzędu Gustavas nocami i dniami wychowywał dzieci i strzegł swojej porcelany. Z czasem Dżena wyzdrowiała i znów stała się taka jak wcześniej. A przecież coś musiało się zmienić, podszeptowało Gustavasowi dziwne przeczucie, przecież obydwójce stali się rodzicami, mają dwoje małych dzieci, powinni się zmienić, zwłaszcza Dżena, przecież jest matką. Jednak nic się nie zmieniło. Dzieci wałęsały się za Dżeną po wszystkich pokojach i kuchni, miaucząc jak kocięta i beznadziejnie wyciągając do niej rączki, jednak tylko błąkały się po domu jak zagubione chochliki. Kiedy wreszcie małemu Artūrasowi, który wówczas jeszcze raczkował, udawało się chwycić ją za łydkę, a Viktoriji ucześcić grubego uda, Dżena natychmiast, szybko i gniewnie wyzwała się z ich rączek. Artūras zaczynał pochlipywać, a Viktorija z rozpaczy próbowała jeszcze chwycić zębami jej spódnice.

– Przestaniesz? Wariatko jedna! – Zniecierpliwiona Dżena szturchała córkę w garb, a Viktorija natychmiast zwijała się w kłębek w nogach sofy jak kopnięty przez przypadek kotek, który zaplątał się pod noga-

mi. Jej zielone oczy pełne dzikiej nienawiści wyglądały spod poduszki.

Gustavas nadal pracował w tej samej spółce budowlanej, a Dżenie w żaden sposób nie udało się nigdzie zatrudnić. Dopiero ponad rok później dostała pół etatu w galerii sztuki dzięki jakiejś znajomości, a cała jej praca polegała na siedzeniu na sali wystawowej. Było tam pusto i ponuro. Mimo to czasami zdarzały się wystawy, niekiedy nawet międzynarodowe, gdy przybywali zaproszeni z zagranicy goście i odbywały się otwarcia. Gustavas nie miał z tym nic wspólnego, naprawdę się na tym nie znał, wszystkie te obrazy nie były na jego głowę i rozum.

– Gdzie tam tobie. – Dżena z pobłażaniem machała ręką. – Co ty wiesz o sztuce? Tylko ściany umiesz tynkować.

Mawiała tak w jego obecności. A on nigdy nic jej nie odpowiadał, cały czas milczał. Przecież miała rację w tym względzie – rzeczywiście nie lubił chodzić do muzeów i galerii, mało czytał, a towarzystwo ludzi, z którymi przedstawiała jego żona, byłoby dla niego prawdziwą męczarnią. Mieszał tynk, równał ściany, do wieczora pracował na rusztowaniach, aż cierpły mu plecy, a w krzyżu zaczynało go kłuć tak, że drętwiały mu wargi i ciemniało w oczach. Wiedział, że bez leków nie wytrzyma. Marzył o gorącej kąpieli i maści na mięśnie, łagodzącej zapalenie korzonków nerwowych.

Po powrocie do tonącego w mroku domu po omacku zapalał światło w korytarzu i resztką sił zdejmował buty. Potem powoli włókł się do kuchni i klękał przy kubie z ziemniakami. Nie był już w stanie się pochylić. W tej pozycji obierał dziesięć ziemniaków i jeden

po drugim celnie wrzucał do zlewu, a potem próbował wstać. Musiał mocno opierać się o stół i parapet.

Nie wiadomo, czy Dżena w ogóle o tym wiedziała. Nigdy nie zapytała, na co są te różowe tabletki, które leżą na lodówce. Miała mnóstwo swoich spraw i znajomości, czuła się ważna i nigdy nie zauważyłaby takich drobnostek. Pracowała z oddaniem, ale pieniędzy nie przynosiła. Niczego nie zarabiała, albo ściślejsz – zarabiała tylko dla siebie, dla nikogo innego nie zostawało. Gdy pewnego razu Gustavas próbował się dowiedzieć, ile zarabia, Dżena tylko wywróciła oczami:

– Ty byś od razu wszystko przejadł! Znam cię dobrze!

Viktorija potrzebowała nowych butów i kurtki, bo zbliżała się jesień, a Artūras inhalatora na powtarzające się coraz częściej ataki astmy. Czasami nawet siniał i zaczynał się dusić, nie mogąc w żaden sposób zaczerpnąć powietrza do swoich małych płuc. Dżena potrząsała głową i mówiła, że nie ma pieniędzy. Gustavas nie zapytał o nic więcej, dał na obydwójce.

– Przynieś coś na kolację – mawiała w niedzielę Dżena rozłożona na sofie w salonie, oparta na poduszkach. – Już mnie mdli od tych garów. Co to ja jestem, służąca? Wiem, chciałbyś, żebym była, wy, faceci, potrzebujecie służących.

Gustavas tak nie myślał, naprawdę tak nie myślał. Jakby chciał przeprosić za wszystkich mężczyzn, odkupić ich winę, zakładał kurtkę i szedł do sklepu. Kupował tam chleb, kiełbasę i sałatkę – cokolwiek, czym można by się jak najszybciej nasycić, owoce, czekoladę dla dzieci i czerwone wino. Barwiło ono policzki Dżeny i rozpalało jej oczy gorącym, czarnym płomieniem, którego trudno było uniknąć, gdy zbliżał się późny wieczór. Jej ręce chwytniwe jak bluszcz owijały ciało męża,

uniemożliwiając mu ucieczkę. Niczego nie słyszała i nie chciała słuchać tego, co ma do powiedzenia o dzieciach: że z Viktoriją jest coś nie tak, a ich syn ciągle kaszle, dusi się i z trudem chwyta powietrze.

Viktorija to był prawdziwy koszmar. Wtedy miała może ze dwa lata, jednak nie spała nocami. Bez ustanku kwiliła albo wrzeszczała na cały głos w swoim łóżeczku, beznadziejnie podnosząc się z pozycji twarzą do ziemi i znów opadając na pościel. Było widać, jak ból przeżywa jej ciało bezlitosnymi ciosami. Dżena ani razu nie wstała z łóżka i nie podeszła do córki. Ani razu nie wzięła jej na ręce, żeby ją uspokoić. Żadne dziecko nie urosło bez wrzasku, nie zrozumiesz, czego to dziecko się drze, wszystkie się drą, a potem dorastają i tyle. Niektóre rzygają, inne ciągle upadają, a ta się drze – tak zdawało się Dżenie. Tak właśnie mówiła Gustavasowi. Słuchał jej słów w milczeniu, tak jak milczy waza albo obraz w dużym pokoju.

A potem przyszła wiosna, bardzo wolno i bardzo spóźniona, ale to nie dlatego tak zapadła w pamięć. Był początek maja, gdy z uszu Viktoriji nagle zaczęła wydobywać się zielona, lepka ciecz. Z początku niedużo, ale każdego dnia jej przybywało, aż na koniec zaczęło lecieć jak z rogu obfitości, zielona ropa płynęła po policzku i szyi w dół, kryjąc się pod kołnierzykiem koszulki i tam wysychając. Viktorija wyglądała jak wyczerpane, ledwie żywe zwierzę, jednak była spokojna, nic jej już nie bolało. Nocami spała, oddychając głęboko, a nawet otwierając usta. Później się okazało, że jej lewe ucho jest jak naczynie szczelnie zamknięte dekle – nie słyszała na nie więcej.



Podnosił i układał kłody jedna obok drugiej, z łatwością i ładnie, tak jak doświadczona tkaczka z osobnych nici tka gęstą tkaninę. Grube sznurki przesuwaly się w dłoniach i szeptały w jego rękach, że nie trzeba się bać. Do przodu. Tylko do przodu.

Zaufaj nam, wtórowały mu ręce, przecież jesteś mistrzem, budowniczym, wiesz dobrze, podobnie jak my, co i jak należy robić, a on słuchał ich, dziwiąc się sile swoich mięśni, dzięki której wiązał mocne supty i dokładnie buchtował liny, oraz swoim umiejętnościom, którymi nigdy się nie odznaczał, a tutaj wszystko, każdy ruch, skłaniało go do większej pewności siebie.

Gdy skończył, trzeba było tylko zamieść wióry. Wielkie i białe, kręciły się jak małe łupiny na wodzie i leżały rozrzucone na ziemi. Jego nogi tonęły w nich jak w pościeli. Zmiotł je w wielkie wzgórze i zanurzył w nich ręce do łokci. Zostaniemy tutaj, mówiły, zostaniemy na wszystkie czasy, a ty idź. Czas na ciebie. Nie możesz dłużej czekać.

3

Dlaczego Dżena nic mu nie powiedziała, gdy Viktorija kilka dni wcześniej obcięła na krótko włosy, ufarbowała się na przeraźliwą czerń i założyła dwa kolczyki – na lewym nozdrzu i na języku?

Ten na języku można było z łatwością dostrzec, gdy mówiła, a zwłaszcza gdy kaszłała czy ziewała. Czasem też gdy po prostu coś jadła. Jak Dżena mogła tego nie zauważyć? Przecież na pewno coś by powiedziała. A może naprawdę niczego nie wiedziała, przecież Viktorija przesiadywała w swoim pokoju całymi godzinami, nie wychylając z niego głowy. Miętosila klawiaturę

komputera, farbowała paznokcie lakierem z pudełka zawierającego setki małych buteleczek i szaleńczo głośno słuchała upiornej muzyki, która przenikała całe ciało i ściany mieszkania. Zresztą to raczej nie była muzyka. Nie miała początku ani końca, nie budziła żadnych emocji, żadnych uczuć, była tylko dziwnym, jednostajnym, skrzekliwym rytmem wybijanym z krótkimi przerwami. Ten rytm wybuchał w jej umyśle, pulsował ciężko w skroniach i huczał w całym jej młodym ciele. Może czuła się spokojniej i bezpieczniej, gdy rezonowały w niej te dźwięki, może to był jedyny sposób, żeby zanurzyć się w świecie, który ją otaczał, a w którym czuła się obco.

Gustavas wiedział, że jego córka kiepsko słyszy, tak naprawdę w ogóle miała niesprawne lewe ucho. Lekarze mówili, że w przyszłości nie obejdzie się bez odpowiedniego aparatu, a to słono kosztuje. Myślał o tym, ale wciąż odkładał. Chciał narodzić się z Dženą, ale jej często nie było w domu, a on kładł się spać, zanim wracała.

Już od kilku tygodni czuł się całkowicie wyczerpany. Sprawy firmy budowlanej, w której pracował, szły źle, długo nie było normalnej pracy, ani jednego poważnego zleceniodawcy, żadnego większego obiektu albo wygranego konkursu, aż nagle rok temu wreszcie się doczekał – firma dostała zlecenie na budowę dużej hali z basenem w centrum miasta. Budowa domów to jedno, ale budowa i urządzenie basenu to zupełnie coś innego. Ciągłe męczyły ich różne kontrole i przeglądy, każda śrubka, każda płytką musiała być na swoim miejscu. Kompleksy saun i atrakcji wodnych, wielkie barykady z metalu i plastyku – zupełnie się wyczerpał. Na szczęście wszystko miało się ku końcowi, już wkrótce miało

nastąpić otwarcie basenu, a kiedy to się skończy, będzie potrzebował co najmniej miesiąca urlopu.

Był wtorek, wrócił do domu na obiad. Jadł w samotności – nabijał zimne mięso na widelec i smarował je musztardą. Niczego nie słyszał i o niczym nie myślał. Dopiero gdy połknął ostatni kęs, nagle odepchnął od siebie talerz i nadstawił uszu. Zza ściany dobiegły go uderzenia rytmu. Viktorija ślęczała zamknięta w swoim pokoju jak zawsze. Wstał od stołu, jakby go ktoś podniósł, i poszedł do niej niczym poprowadzony za rękę. To było zdumiewające, ale nie mógł się temu sprzeciwić. Dziwił się samemu sobie. Zbliżył się do drzwi i nieśmiało nacisnął klamkę, a gdy się uchyliły, natychmiast zalały go dźwięki. Viktorija, tak jak podejrzewał, leżała na łóżku z nogą założoną na nogę, z zamkniętymi oczami i masywnymi słuchawkami z czarnej skóry na uszach. Jaki dźwięk musiał trafiać z nich do jej uszu, skoro on w drzwiach nawet wzdrygał się od bijącego rytmu?

Gustavas nie wiedział, jak zaznaczyć swoją obecność i dać córce do zrozumienia, że chce porozmawiać. Viktorija leżała nadal z zamkniętymi oczami, więc miał już obrócić się i wyjść, ale nagle otworzyła oczy, jakby coś poczuła, i zobaczyła go w drzwiach. Na początku nie zwracała na niego uwagi i czekała, aż wyjdzie, jednak Gustavas ani drgnął. Rzeczywiście ufarbowała włosy, wyglądały jak wysmarowane smołą i ten kolor zupełnie jej nie pasował. A ten pierścień, który sterczał w lewym nozdrzu – co o nim myśleć? Jego córka wyglądała jak zwierzę, jak jakaś krowa. Ale czy mógłby zwrócić jej na cokolwiek uwagę? Wreszcie Viktoriji skończyła się cierpliwość – zrzuciła słuchawki i wbiła w niego wzrok.

– No, czego chcesz?

Na chwilę się zmieszał, przez sekundę myślał, że córka nie powinna tak mówić do ojca i patrzeć na niego takim wzrokiem, ale ta chwila szybko minęła, a on pojął, że nie wie, o co ją zapytać i nie pamięta, czy chciał jej coś powiedzieć.

– Jak się trzymasz? – Usłyszał swój głos i sam się zdziwił, a nawet zawstydził, że pyta o takie rzeczy. Jakby była wychowanką domu dziecka.

– Co mówisz? – Viktorija się zmarszczyła. Nie usłyszała go. Zapytał półgłosem, tylko półgłosem, co dla niej w najlepszym wypadku było zaledwie drzeniem powietrza. Przekrzywiła głowę i potrząsnęła nią. – Nie słyszę, mów głośniej!

Nie słyszała. Gustavas tak osłupiał, że nawet cofnął się o kilka kroków. Po raz pierwszy w życiu zobaczył, że włosy Viktoriji przypominają jego własne – były gęste i trochę kręcone przy skroniach. Miała też to samo czoło, co on, mógłby przysiąc. A usta odziedziczyła po matce, te same opuszczone w dół kąciaki. Jakie to dziwne, że nigdy tego nie dostrzegał. Przez piętnaście lat nie spoznał na swoją córkę. A teraz ona patrzyła na niego – ze złością, pytając, jak schwytane leśne zwierzątko, nieufnie, nie wiedząc, czego oczekiwać. Nagle zrozumiała jego spojrzenie, pojęła, iż stało się dla niego jasne, że ona jest głucha, ale nie, wciąż stoi i gapi się na nią, stoi i się gapi! Do diabła!

Gustavas po raz pierwszy w życiu rozmawiał z córką. Nie słowami, ale oczami. Oczy Viktoriji wypełniały ból, złość, która natychmiast stawała się gniewem, nienawiścią i jeszcze czymś, czego nie umiałby nazwać. To oczywiście nie mogło trwać zbyt długo. Viktorija nagle wyskoczyła z łóżka i wypchnęła go za drzwi. Dziwnie przy tym parskała i wrzeszczała, w jej oczach

błyszczwały łyzy. Potem zatrzasnęła drzwi i usłyszał, jak zaczyna szlochać.

To, co Gustavas wyraźnie poczuł, było najprawdziwszą utratą. Nie ma córki. Nigdy jej nie miał. Viktorija nigdy nie miała ojca. Przeszło niemal piętnaście lat, a zrozumiał to dopiero teraz. Należałoby powiedzieć Dżenie, że nie mają córki. Ale Dżenę by to zapewne nie obeszło, jeszcze by go wyśmiała, nazwała głupkiem i wariatem. I nie da się już niczego naprawić, nie miał żadnych wątpliwości, chyba że nadszedłby wielki potop i zalał, poniósł ze sobą wszystko dookoła, zniszczył bez najmniejszego śladu, pozostawiając po sobie pustynię, na której wszystko można by zacząć na nowo. Tylko potop.



Wiatr wzmagał się odczuwalnie. Jego potężne podmuchy coraz mocniej skuwały okoliczne jaskinie i obłoki. Ścisnął je w swoich objęciach nie z miłości, ale pragnąc końca, całkowitego oczyszczenia. Obłoki wzbierały i puchły w oczach jak wielkie, niebieskie rany na łuku nieba, które za chwilę miały otworzyć się bolesnymi wrzodami i wypuścić ropną, wilgotną masę na wszystko, co poniżej.

Ledwo zdążył spuścić ciężkie drewniane kraty. W tej samej chwili rozległ się straszny grzmot i opadła woda. Wewnątrz było spokojnie, bezpiecznie i ciepło. Położył się na dnie. Wyciągnął na boki obydwie ręce i nogi. Na wszelki wypadek, żeby mógł zachować równowagę. Jego ciałem kołysało i nosiło, potrzasało i rzucało, ale wbił oczy w sufit, w doskonałe linie drewna, w jego oczach migotały grube słoje. Stuletnie rysunki mówiły mu, że czas jest z nim. I był spokojny.